

Z PKF przez Polskę i świat – Podróże do ZSRR

29 września 2019

O tym, czego widzowie Polskiej Kroniki Filmowej nie widzieli.

Przed setną rocznicą urodzin Włodzimierza Iljicza Lenina zakłady pracy w Polsce noszące jego imię (Huta im. Lenina, Kopalnia im. Lenina i Stocznia im. Lenina) postanowiły uczcić to doniosłe wydarzenie i wysłały do Uljanowska, (do 1924 r. Symbirsk, od 1992 r. znowu Symbirsk) delegacje załóg, aby pobrały z tego „świętego” miejsca ziemię i przywiozły ją do Polski. Ponieważ owe zakłady zwróciły się do redakcji z prośbą, aby delegacjom towarzyszyła ekipa PKF, Michał Gardowski wysłał tam mnie i Ryszarda Golca.

W mieście trwały ostatnie prace przed ogólnoradzieckimi przygotowaniami do uczczenia rocznicy. W Leninskim Centrie, czyli dopiero w co wybudowanym gmachu, Muzeum Lenina, myto szyby w oknach, a na wysoki cokół pomnika wodza rewolucji wciągano za pomocą dźwigu zawieszoną na stalowej linie głowę Iljicza. Ryszard właśnie filmował ten historyczny moment, gdy podeszło do nas dwóch milicjantów i przerwali pracę, zabrali kamerę i zaprowadzili do komisariatu, tu zostaliśmy przesłuchani, a nasze zeznania zapisane. Potem pozostawiono nas w pokoju, gdzie czekaliśmy około pół godziny. Gdy pojawił się znowu milicjant, zażądałem rozmowy z komendantem. Nie jestem w stu procentach pewny, czy przyjął mnie wtedy komendant, w każdym bądź razie zaprowadzono mnie do kogoś ważnego. Poprosiłem go, by zadzwonił do sekretarza komitetu partyjnego, podałem jego nazwisko, znałem je, bo dnia poprzedniego podejmował delegację zakładów z Polski kawą i koniakiem. Milicjant zadzwonił i w oka mgnieniu zmienił się nastrój. Nie tylko nas wypuścili z kozy, ale odwieźli do hotelu czarną wołgą.

Robiliśmy zdjęcia w drewnianym domu-muzeum – w którym urodził się Lenin. Tu też o mało nas nie zamknięto. Do wnętrza muzeum weszliśmy bez przeszkód, obejrzeliliśmy eksponaty, ustaliliśmy z Ryszardem, co sfilmujemy, znaleźliśmy kontakt, podłączyliśmy lampy i zapaliliśmy światło. W tym momencie rzucili się na nas strażacy. Szamotanina trwała kilkanaście sekund, w końcu porozumieliśmy się z nimi i Ryszard zrobił zdjęcia. Strażacy obawiali się, że włączenie lampy spowoduje spięcie i drewniany dom może się zapalić. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze dla nas i strażaków, pożaru nie wywołaliśmy. Wróciliśmy do hotelu, gdzie trwało już pożegnalne przyjęcie!

W kilka dni po naszym powrocie Michał Gardowski musiał się tłumaczyć z tego, że wysłał do Wielkiego Brata ekipę, pomijając oficjalną drogę.

Taszkient – Samarkanda

Następny mój wyjazd był już zaplanowany. Razem z Januszem Kreczmańskim udawaliśmy się do republik południowych Związku Radzieckiego. W Moskwie czekaliśmy kilka dni na wylot do Taszkientu, więc poznawaliśmy, stolicę imperium jako turyści, bo filmować nie mogliśmy, ponieważ nie przysłaliśmy planu, które obiekty nas interesują, nie został ten plan zatwierdzony, a propozycja, że chcemy pojechać do miasta i sfilmować po prostu życie ludzi, ciekawostki, pomniki, szachistów w parkach i młodych poetów deklamujących wiersze pod pomnikiem Puszkina nie znalazła zrozumienia. Wałęsaliśmy się przeto po Moskwie jak turyści indywidualni-bez przewodnika i opiekuna, miało to tę zaletę, że w księgarni na ulicy Gorkiego kupiliśmy kilka ilustrowanych broszurek o miastach, w których zamierzaliśmy robić zdjęcia.

Po trzech dniach, tak spędzonych w Moskwie w towarzystwie dwóch miłych opiekunów, odlecieliśmy do stolicy Uzbekistanu, Taszkientu, gdzie po wylądowaniu przeżyliśmy pierwszą niespodziankę. Kreczmańskiego powitał na lotnisku bardzo

serdecznie Uzbek – operator, który studiował z Januszem w Łódzkiej Szkole Filmowej. Opiekunów poinformował, że zabiera nas na resztę dnia do własnego domu, aby przedstawić polskich przyjaciół własnej rodzinie.

Prosto z hotelu pojechaliśmy do meczetu wypełnionego po brzegi modłącymi się muzułmanami. Pokazał nam także mniej oficjalne dzielnice Taszkientu i zachęcał do robienia zdjęć: „Takiego Taszkientu wasi opiekunowie nie pozwolą filmować. Tu zobaczycie, jak naprawdę żyją Uzbegy”.

Z Taszkientu mieliśmy lecieć do Samarkandy, ale nasi opiekunowie napotkali na trudności z kupieniem biletów na samolot. Pojechaliśmy więc do wytwórni filmów dokumentalnych, sądząc, że dyrektor załatwi bilety. Zastaliśmy zastępcę dyrektora – Uzbeka, bo dyrektor-Rosjanin bawił właśnie w Moskwie. Sympatyczny Uzbek nie chciał słyszeć o żadnym samolocie! „Skoro nasi polscy przyjaciele przylecieli aż tak daleko, by filmować Uzbekistan, to pojedą jutro rano samochodem, będą mogli po drodze robić zdjęcia naszej ojczyzny”.

Na to Rusłan, jeden z opiekunów, oświadczył, że podróż samochodem nie wchodzi w rachubę, nie ma jej w planie i nie została zatwierdzona. „Zapominasz – usłyszał od dyrektora – że tu jest Republika Uzbekistanu, a nie Republika Rosyjska, i o tym, czym pojedą nasi polscy goście decydujemy w Taszkencie”.

Podróż zajęła nam cały dzień, po drodze bowiem filmowaliśmy krajobrazy, zbiór bawełny i co ciekawsze miejscowości. Nasi opiekunowie nie byli tym zachwyceni, ale nie mogli nic zrobić, bo kierownikiem wyprawy okazał się uzbecki kierowca i to jemu mówiliśmy, gdzie, się zatrzymać.

Po pracowitym dniu znaleźliśmy się w Samarkandzie – mieście muzeum, którego początki sięgają czwartego wieku p.n.e. W wiekach średnich była to stolica państwa Tamerlana. Nazywanego także Timurem, potężnego wodza i krwawego wojownika. Pod jego

rządami Samarkanda stała się ośrodkiem nauki i kultury promieniującym na całą Azję Centralną. Miasto nas urzekło, gdy następnego ranka zobaczyliśmy baśniowe budowle w pierwszych promieniach wschodzącego słońca. To właśnie tu od miejscowej przewodniczki, komsomołki Zoji, usłyszeliśmy legendę o żonie Tamerlana, która na jego cześć zapragnęła zbudować meczet nazywany „Bibi Chanum.”

Gdy Tamerlan wyruszył na podbój Indii, rychło do Samarkandy dotarły wieści o jego zwycięstwach. Piękna i kochająca żona postanowiła uczcić jego powrót wspaniałym meczetem. Wezwała na dwór najsławniejszych architektów, przedstawiła im ideę budowy świątyni, ale po jej wystąpieniu w komnacie zapanowało milczenie. Najsławniejszy i najstarszy zarazem architekt poprosił, aby najjaśniejsza pani dała zebrany choćby tylko trzy dni do namysłu, zadanie jest tak ogromne, że muszą połączyć siły, bo jeden człowiek nie zdoła podjąć się realizacji tak wielkiego dzieła, w tak krótkim czasie. Po trzech dniach piękna małżonka usłyszała, że zadanie przerasta siły wszystkich architektów. Wtedy zjawił się młody i odważny architekt i oświadczył, że on podejmuje się zbudować meczet, pod jednym wszakże warunkiem, że piękna monarchini pozwoli mu się po ukończeniu dzieła pocałować. Kochał bowiem piękną żonę Tamerlana tak mocno, że wierzył, iż myśl o nagrodzie ustokrotni jego siły.

Jak wiadomo, piękne kobiety znają tysiące sposobów, by danego słowa nie dotrzymać. Przepiękna Bibi Chanum miała nadzieję, że zdoła odwieść zuchwałego architekta od spełnienia obietnicy. Kiedy budowa meczetu zbliżała się do końca, a Tamerlan do granic swojego państwa, zaprosiła architekta na śniadanie i postanowiła odwieść go od spełnienia obietnicy. Na stole w srebrnej misie podała zuchwałemu śmiałkowi tylko jajka pomalowane na różne kolory i poprosiła, aby spróbował je zjeść. Kiedy architekt zjadł już kilka jajek, zapytała, czy dostrzegł jakąś różnicę w smaku między jajkami o różnych kolorach. „Nie, najjaśniejsza pani, mimo różnych kolorów jajka

smakują jednakowo”. „Podobnie jest z kobietami – odrzekła – wyglądają różnie, a smakują tak samo”.

Niezbity z tropu zuchwały architekt wezwał swojego sługę i polecił mu przynieść dwa dzbanki wypełnione jednobarwnym płynem. Nalał do kieliszków i poprosił, aby władczyni wypić płyn z pierwszego kieliszka napełnionego źródlaną wodą, a potem z drugiego, w którym był alkohol i zapytał, czy dostrzegła różnice w smaku.

„Napój z pierwszego kieliszka schłodził moje wnętrze, a z drugiego rozgrzał” – odpowiedziała władczyni. (Zatrudnieni w głośnym instytucie dwaj agenci, przebrani za historyków twierdzą, że w teczkach jest zapisane, iż płyn rozgrzewający, przypominający kolorem wodę, to nic innego jak aqua vita pochodząca z Lechistanu). „To dowodzi, że podobnie jest z niewiastami – odrzekł architekt – jedna schładza zmysły, a druga je rozgrzewa. Nie ma bowiem pod słońcem dwóch jednakowych kobiet”.

Władczyni uległa argumentacji architekta i pozwoliła pocałować się jedynie w policzek.

Architekt pałał do swej władczyni tak żarliwą miłością, że na jej policzku pozostał ślad pocałunku. Srogi i zazdrosny Tamerlan osadził żonę w wieży meczetu zbudowanego na jego cześć, gdzie dokończyła swojego żywota.

Nasza przewodniczka Zoja była urodziwą komsomołką, studentką drugiego roku historii i żarliwą wyznawczynią Lenina, musiałem łagodzić spory, jakie wybuchały między nią a Januszem, który drażniąc się zgłaszał wątpliwości, co do niektórych myśli i poczynań wodza rewolucji. Zoja twierdziła, że tu, w Samarkandzie, wszyscy kochają Włodzimierza Iljicza, a jej babcia zamiast ikony ma na stoliku jego podobiznę, przybraną kwiatami i do niego się modli. Nie wnikałem, czy opowieści Zoji są udawane, na pokaz, czy rzeczywiste. Zadziwiła mnie jej żarliwość, raziły natomiast – zęby, wszystkie w górnej

szczęce ze złota. Zadawałem sobie pytanie, czy w owym czasie wśród tutejszej młodzieży panowała taka właśnie moda, czy był to relikw przesłości?

Samarkanda nie szczędziła nam różnorakich zaskoczeń. Wybraliśmy się oto z Januszem na kolację do hotelowej restauracji, gdzie spotkaliśmy grupę francuskich turystów-komunistów. Jak to ludzie z zachodu zachowywali się swobodnie i dobrze się bawili. Panie miały nadzwyczajne powodzenie, nie schodziły z parkietu. Dwaj młodzi Rosjanie po kilku tańcach, mimo protestu kelnera, opuścili swój stół i przysiedli się do stołu zaproszeni przez Francuzów, ściślej mówiąc, piękniejszą część delegacji. Zwłaszcza jeden z młodzieńców tańczył z przepiękną Francuzką tak wspaniale, że dostali od całej sali spontaniczne brawa! W pewnym momencie młodzieniec ów opuścił salę, by po kilku minutach powrócić z bukietem czerwonych goździków. Wręczył kwiaty swojej partnerce, co spotkało się z pełnym aplauzem biesiadników. Francuska wspięła się na palce, objęła rękami szyję młodzieńca i nagrodziła go pocałunkiem. Wtedy Rosjanin przywołał kelnera powiedział mu coś niezbyt głośno, a po chwili poprosił Francuzkę do tańca. Orkiestra zagrała „Oczy cziorne”, młodzi przytuleni do siebie, samotnie, bo inne pary nie pojawiły się na parkiecie, przenieśli się w świat romantycznych marzeń. Ledwo tylko orkiestra przestała grać, trzech kelnerów ze srebrnymi wiaderkami i butelkami szampana wkroczyło na salę i całą zawartość postawili na stole francuskich turystów. Zaczynał się szampański wieczór. Janusz zaczął się zastanawiać, czy nie pójść po kamerę, ale odwołałem go od tego zamiaru, bo przecież musielibyśmy uzyskać zgodę, co najmniej kierownika Sali, na filmowanie, a może nawet straży pożarnej i jeszcze jakichś innych czynników, nie mówiąc już o naszym opiekunie, który nie wiadomo gdzie w tej chwili przebywał, bo gdy schodziliśmy na kolację nie było go w pokoju. Piszę w liczbie pojedynczej, bo Rusłan (jeden z opiekunów) odleciał do Moskwy. Aby złagodzić cierpienia mojego przyjaciela, zamówiłem butelkę wina, Janusz nie przepadał za alkoholem, ale wiedziałem, że mi nie odmówi i

wypije choćby tylko jeden symboliczny kieliszek. W taki wieczór w Samarkandzie...

Tymczasem w lokalu narastała braterska atmosfera, gdy orkiestra przestawała grać Francuzi, śpiewali swoje pieśni, potem Rosjanie i Uzbegy się rewanżowali, zsunęli nawet kilka stolików, aby stworzyć chór. Kelnerzy przynosili nowe butelki. Po jakimś tańcu, gdy opisana tu para francusko-rosyjska wracała do stolika, Rosjanin poślizgnął się albo o coś zahaczył nogą, a upadając zbił łokciem szybę w drzwiach. Natychmiast obstąpiło go kilku pracowników restauracji i zaczęła się dość głośna wymiana zdań. Francuzka nie opuszczała swojego partnera, ale nie rozumiejąc, o czym rozmawiają miała dość żalostną minę. W pewnym momencie Rosjanin wyciągnął portfel z kieszeni i usiłował za stłuczoną szybę zapłacić, ale nikt nie chciał przyjąć od niego pieniędzy. W tej patowej sytuacji do sali wkroczyło dwóch milicjantów, którzy usiłowali wyprowadzić chłopaka. Wtedy ruszyli z pomocą Francuzi, poderwali się od stołu i wzięli Rosjanina w obronę. Wyjaśniali milicjantom, że są grupą francuskich komunistów, jeden z nich wyciągnął nawet legitymację FPK. Tłumaczyli, że chłopak nie jest winien, że usiłuje za szybę zapłacić, ale nikt nie chce od niego przyjąć pieniędzy. Milicjanci wycofali się, ale atmosfera sprzed incydentu już nie powróciła. Francuzka i Rosjanin zaczęli nawet tańczyć, w ich ruchach nie było już radości i fascynacji. Poprosiłem kelnera o rachunek i zaproponowałem Januszowi powrót do hotelu.

„Nie możemy wracać – powiedział Janusz – musisz zobaczyć finał. Założę się z tobą o wszystkie pieniądze, jakie mam przy sobie, że po zamknięciu lokalu chłopak zostanie zatrzymany”. Zakładu nie przyjąłem, Janusz znał doskonale Związek Radziecki, nie zamierzałem ryzykować. Kiedy Francuzi wstali od stołu i udali się do windy, wyszliśmy przed hotel. W parę minut później pojawił się Rosjanin w towarzystwie kolegi. Natychmiast otoczyli ich milicjanci, którzy na naszych oczach założyli chłopakowi kajdanki i wepchnęli do gazika. Aby się

nie guzdrał, pomogli mu pałką. Przypomniałem sobie wtedy słowa Lenina, który mawiał, że państwo to „dubinka.”

W Samarkandzie zastała nas rocznica Wielkiej Rewolucji Październikowej, sfilmowaliśmy uroczystości, a ponieważ pochód zapowiadał się na dwie godziny, wróciliśmy do hotelu, wjechaliśmy windą na najwyższe piętro, wyszliśmy na taras, z którego Janusz zrobił kilka ogólnych ujęć pochodu i miasta. Jeszcze nie skończył filmować, gdy na tarasie pojawiło się dwóch panów, podeszli do Janusza i urzędowym głosem zapytali, kto nas tu wpuścił i co tu robimy?

Na to Janusz stanowczym głosem powiedział im coś, czego nie dosłyszałem. Dwaj mężczyźni stanęli jakby skamienieli. Przeprosili, poczekali aż Janusz skończy filmować, pomogli znieść statyw i kamerę do windy, grzecznie się pożegnali i zniknęli bezszelestnie w przepastnym korytarzu.

„Co ty im powiedziałaś” – zapytałem po powrocie do pokoju.

„Użyłem magicznych słów, których nauczyłem się na Syberii, od milicjanta przebranego za kierowcę. Nie da się tej lekcji opowiedzieć w dwóch zdaniach, więc jeśli chcesz poznać całą prawdę musisz uzbroić się w cierpliwość”.

„Realizowaliśmy zdjęcia w Nowosybirsku – zaczął Janusz swoją opowieść – ustawiłem statyw, założyłem kamerę i skierowałem obiektyw na drewniany dom ozdobiony ludowymi motywami i miniaturowymi rzeźbami. Już miałem uruchomić kamerę, gdy ktoś, później się okazało, że radziecki patriota, dotknął mojego ramienia, a gdy na niego spojrzałem, wskazał mi nowy blok i kazał go filmować. Odpowiedziałem, że blok z wielkiej płyty mnie nie interesuje, bo jest brzydki, natomiast dom drewniany jest piękny i będę go filmował. Wtedy Rosjanin popchnął statyw, całe szczęście, że kamera upadła w zaspę śniegu i nic się nie stało. Nie zdążyłem jeszcze wyciągnąć jej z zasy, gdy rozległ się głośny huk i radziecki patriota zwałił się na ziemię obok statywu. Kierowca widząc co się dzieje, wyskoczył

z samochodu i zwyczajną pałką milicyjną tak uderzył człowieka, że ten zwałił się w śnieg. A po incydencie udzielił mi rady: jeśli ktokolwiek, babuszka, zwykły przechodzeń czy generał nawet będzie ci przeszkadzał w robieniu zdjęć nie wdawaj się w dyskusję, powiedz tylko stanowczym głosem – „uchadi w pizdu, job twoju mać, nie mieszaj w rabotie” To wystarczy, każdy obywatel Związku Radzieckiego doskonale rozumie te słowa. Wypróbowałem je na Syberii kilkakrotnie, za każdym razem poskutkowały. W Samarkandzie też wiedzą, co one znaczą, przekonałeś się o tym osobiście, obserwując zachowanie tych dwóch osiłków.

Zdarzyło się to 7 listopada 1972 roku. Ten dzień miał się jednak zakończyć dopiero późnym wieczorem. Wziąłem prysznic i zamierzałem położyć się do łóżka, gdy usłyszałem, że ktoś wkłada klucz do zamka i otwiera drzwi do mojego pokoju. Nie zdążyłem nawet wyjść do przedpokoju, gdy przede mną stanęła w groźnej postawie „dyżurna po etażu” i wrzasnęła: „ zobacz, jak ten Poliaczek się spił i leży jak świnia”. Nie mogłem uwierzyć, po kolacji Janusz poszedł do swojego pokoju trzeźwy jak skowronek! A od tego czasu nie upłynęło więcej niż dwadzieścia minut. Szybko się jednak wyjaśniło, że to nie Janusz, a nasz opiekun spił się do tego stopnia, że idąc do toalety przewrócił się w przedpokoju, zrobił siusiu i leżał, nie mogąc się podnieść. Pobiegiem po Janusza, wspólnie wciągnęliśmy Aloszę do łóżka, które zastawiliśmy dwoma fotelami i stolikiem. Dyżurnej po etażu wytłumaczyłem, że to nie Poliak, a prawdziwy radziecki „grażdanin.”

Na drugi dzień rano poprosiłem Aloszę do pokoju i zapytałem, czy mam dzwonić do Moskwy, aby przysłali innego opiekuna? Przerażony Alosza zaczął przeproszać, obiecał nawet, że w sprawozdaniu napisze o nas same dobre rzeczy! I to mnie zirytowało. Zażądałem, aby natychmiast powiedział nam prosto w oczy, co w czasie naszej podróży zrobiliśmy naganne, upiliśmy się może tak jak ty? Zaczął się chaotycznie tłumaczyć, a z tej mowy wynikało, że przez cały czas jesteśmy

niezadowoleni. I tu wpadł w pułapkę. „Nie jesteśmy niezadowoleni z pobytu w Wielkim Związku Radzieckim, a z twojej pracy, bo nam ciągle mówisz: „niet, niet, niet,” Tego nie wolno filmować! Są to słowa, które wypowiadasz najczęściej, utrudniasz nam w ten sposób pokazanie wielkiego dorobku ZSRR i jego piękna!”

Alosza przyrzekł, że jeśli nie zadzwonię do Moskwy, będziemy mogli wszystko filmować, a on nam w tym pomoże. „Udowodnij to” – powiedziałem.

Opuściliśmy Samarkandę, dzięki Aloszy, straż na rogatek miasta przepuściła samochód, którym udaliśmy się do najbliższego kołchozu. Wiedzieliśmy, że zdjęć nie opublikujemy w kraju, przedstawiały bowiem kołchoz biedny, wieś zaniedbaną, ale w ten sposób Alosza udowodnił, że ma wielką władzę. Wykorzystywaliśmy jego uprzejmość przez dalszy czas pobytu.

Ałma-Ata

Ałma-Ata (po kazachsku znaczy: ojciec jabłek) powitała nas złocistą jesienną pogodą, a koledzy w wytwórni filmowej dokumentem o schwytaniu tygrysa i kumysem. Film urzekł nas cudownymi krajobrazami i myśliwymi, którzy pojмали groźnego zwierza, założyli mu miniaturowy aparat wysyłający sygnały i zwrócili wolność. A następnego dnia wywieźli w góry i pokazali miejsca, gdzie film realizowano. Było oczywiście ognisko, pieczony baran-kazachska specjalność – kumys, wino i koniak. Doprawdy Kazachowie są nadzwyczaj gościnni, przekonaliśmy się o tym na wysokości 2400 metrów i przez cały czas pobytu. Wracaliśmy z gór tuż przed zachodem słońca, naszym oczom ukazała się ówczesna stolica republiki w całej gamie barw, otoczona aż po horyzont żółto-różowymi pasmami. Zapytaliśmy kolegów, czy to jesiennie kwiaty? Za pół godziny przekonacie się, co to jest w rzeczywistości, teraz możemy powiedzieć, że nie są to kwiaty. Rychło się okazało, że miasto jest otoczone sadami, a te żółto-różowe plamy to jabłka opadłe na ziemię,

których tu nikt nie zbiera. I to, jakie jabłka! Przywiozłem jedno do Warszawy ważące 1,15 kg (słownie: kilogram i piętnaście dekaogramów!). Gdy wokół Ałma-Aty jabłka gniły na ziemi, w Moskwie kilogram marnych jabłek kosztował ponad dwa ruble. Tajników socjalistycznej ekonomii nie zgłębialiśmy na szczęście, ale kolorystykę zanotowaliśmy na taśmie.

Restauracja hotelowa w Ałma-Acie nie różniła się niczym od restauracji w Moskwie czy w stolicach innych republik radzieckich. Różnica polegała jedynie na tym, że spotkaliśmy tu bardzo miłą kelnerkę, która przyznawała się do swojego polskiego pochodzenia. Językiem dziadków mówiła słabo, ale jej życzliwość nie znała granic. Zapytaliśmy, czy są w tym mieście jakieś restauracje, w których można poznać prawdziwe życie i miejscowy folklor? Poradziła jeden lokal słynący z oryginalności, ale natychmiast dodała, że nie może z nami pójść, ponieważ zbierają się w nim wyłącznie mężczyźni. Wybraliśmy się tam następnego wieczoru. Nie żałowaliśmy. Mężczyźni, wszyscy w czarnych oryginalnych kaukaskich strojach, siedzieli przy stolikach, pili wino i śpiewali pieśni. A gdy zagrała orkiestra, tańczyli z kaukaskimi nożami w zębach, z szeroko rozłożonymi, jak skrzydła ptaków w locie, ramionami. Wtedy przypomniałem sobie, że w przedwojennej prasie rysowano bolszewików właśnie z nożami w zębach, bałem się tych rysunków straszliwie i może, dlatego tak długo gnieździły się w mojej pamięci. Janusz był niepokieszony, kierownik nie zgodził się na filmowanie.

W ówczesnej stolicy Kazachstanu spotkaliśmy kilku Polaków, jeden z nich pracujący w zakładach porcelany zapytał, czy możemy jego mamie mieszkającej w Warszawie zawieźć pieniądze. Rozmawialiśmy w miejscu jego pracy, więc umówiliśmy się, że następnego dnia o siódmej rano przywiezie pieniądze do hotelu. Minęło pół godziny, a on się nie pojawił. Czekał na nas w holu. Na pytanie, dlaczego nie przyszedł do pokoju odpowiedział, że go nie chcieli wpuścić.

W czwartek rano koledzy z wytwórni zapytali, czy chcielibyśmy

wziąć udział w kazachskiej biesiadzie? Zgodziliśmy się natychmiast, pytając czy będziemy mogli robić zdjęcia i kto nas zaprasza? Odpowiedzieli, że pewien rosyjski pisarz, który mieszka w Ałma-Acie.

W piątek po południu wyruszyliśmy na biesiadę. Przyjechaliśmy punktualnie o godzinie piętnastej. Przed bramą olbrzymiej, drewnianej dachy czekał już gospodarz, po powitaniu przeprosił, że nie może nas teraz gościć, bo przed chwilą złożyli mu wizytę przedstawiciele z KGB i właśnie ich podejmuje, nas zaprasza na osiemną i ma nadzieję, że się nie obraziliśmy. Zastanawialiśmy się z Januszem, co to znaczy i czy powinniśmy przyjeżdżać później? Koledzy z wytwórni wytłumaczyli, że w Kazachstanie to normalne, ci z KGB też lubią pobiesiadować, wpadli więc na chwilę, a uprzejmy gospodarz nie chciał ich nie ugościć. Janusz, który na Syberii spędził ponad rok, uznał, że w przełożeniu terminu wizyty nie kryje się nic nadzwyczajnego, więc o osiemnastej stanęliśmy ponownie przed dachą. Bez Aloszy, którego kazachscy koledzy z wytwórni nie zaprosili.

Tym razem już bez kłopotów rozgościliśmy się, nie wiedząc, że aż na trzy noce i dwa dni! Gospodarz nie zwlekając nalał po szklanicy wina i wzniósł toast za gości z dalekiej Polski! Tu, w Kazachstanie, toasty wznoszono krótko, ale za to często. W obawie, że do wieczora nie utrzymamy się na nogach zapytaliśmy gospodarza, czy możemy zrobić zdjęcia?

„Nie ma żadnych przeszkód – odparł – ale właściwa biesiada zacznie się dopiero po teatralnych spektaklach, teraz za stołem jest zaledwie garstka ludzi. Sami literaci i kilku malarzy, nie przyszły jeszcze ich muzy, tancerki i modelki. Zjawiają się po spektaklach”. Przy okazji zapytał, czy przypadkiem nie przeszkadzają nam dwa portrety na ścianie, czy będziecie mogli w Polsce pokazać Indirę Gandhi i Stalina?

Po dwudziestej drugiej, czyli po spektaklach, zaroїło się od gości. Kogo tam nie było: sławne aktorki i aktorzy, muzycy,

baletnice i tancerze i najwspanialsze głosy Kazachskiej Republiki Radzieckiej, zasłużeni artyści i najpiękniejsze primabaleriny. Zabawa trwała do sobotniego poranka, potem salon opustoszał, położono nas do łóżek i wczesnym popołudniem przywrócono do życia.

Jadłem tam szaszłyki i baranie oczy, piłem kumys, wino i nalewki na spirytusie. Tylu artystek i artystów w jednym pomieszczeniu nie widziałem nigdy dotąd i nigdy później. Pewne fragmenty biesiady znalazły się w filmie „Słoneczne Stolice” wyświetlanym na ekranach kin w Polsce.

Kiedy w poniedziałek rano, opuszczając gościnny dom, dziękując gospodarzowi za cudowne trzy noce i dwa dni, poprosiłem go o nazwisko odpowiedział mi pytaniem: „Powiedz Mirosław, czy dobrze się wśród nas czułeś? Mówisz, że znakomicie, to po co ci moje nazwisko? Żegnaj polski przyjacielu, zachowaj nas we wspomnieniach jak najdłużej... Daliśmy ci nasze serca, nazwisko jest bez znaczenia”.

Tbilisi

Głos kapitana samolotu wyrwał nas z drzemki, zostaliśmy właśnie poinformowani, że przekroczyliśmy granicę Gruzjińskiej Republiki Socjalistycznej. Była to nowość, nie informowano nas, gdy przekraczaliśmy granice innych republik.

Spotkanie z gruzińskimi kronikarzami zaczęliśmy dość niefortunnie, zwróciliśmy się z prośbą do kolegów w wytwórni, aby pożyczili nam 200 metrów taśmy, bowiem przywieziona z Polski właśnie się kończy.

„Dwieście metrów na Gruzję? Drodzy polscy przyjaciele chyba się pomyliliście, dwieście metrów nie wystarczy wam nawet na naszą piękną stolicę! Jesteście naszymi gośćmi – oświadczył dyrektor – pragniemy, abyście czuli się w Gruzji jak u siebie w domu i każdego dnia pobierali tyle taśmy, ile wam potrzeba. Kolega, który będzie się wami opiekował, wie doskonale jak się

u nas taśmę pobiera, zapewniam, że nie napotkacie na żadne trudności!”

Dyrektor wytwórni życzył nam miłego i owocnego pobytu w Gruzji i oddał pod opiekę reżysera, a ten poprosił Aloszę, aby swój pobyt w Tbilisi potraktował wypoczynkowo, nie martwił się o polskich przyjaciół, obiecując mu, że odlecimy do Moskwy cali i zdrowi.

„Skoro sprawy protokolarne załatwiliśmy szybko i sprawnie – podsumował reżyser, gruziński opiekun – proponuję, abyście zapoznali się z naszą twórczością, pokażę wam tylko jeden film, nasz najnowszy, który właśnie wczoraj wszedł na ekrany stołecznych kin. Film nosił tytuł „Balkony”, przedstawiał w sposób dość przekonujący i dowcipny historię Gruzji od czasów starożytnych, aż po czasy, gdy Gruzja stała się republiką socjalistyczną, co spowodowało oczywiście, że cały naród jest z tego powodu szczęśliwy. „Balkony” to historia podbojów Gruzji przez różnych najeźdźców, bliższych i dalszych sąsiadów. Ani razu na ekranie nie pokazano żołnierza, karabinu, armaty, czołgu. W zależności od napastnika zmieniał się wygląd balkonów i osoby na nich przebywające. Morał płynął stąd taki, że zmieniają się tylko najeźdźcy, a „Matka Gruzja” jest wciąż ta sama. Powszechna szczęśliwość Gruzinów w socjalizmie pokazana na końcu filmu jest jedynie zabiegiem formalnym, albo jak wolisz kwiatkiem przy kożuchu, bo w to szczęście mało, kto wierzy. Nie wierzyłem, że film jest wyświetlany w kinach. Jego wymowa antyrosyjska aż biła w oczy. Publiczność przyjmowała „Balkony” oklaskami, przekonałem się o tym osobiście. Gruzini rozumiał moje wątpliwości, poczuł się zobowiązany wyjaśnić mi, że film jest wyświetlany tylko w Gruzji, a nie w ZSRR. Gruzini wszak mają prawo przedstawiać zgodnie z prawdą swoją historię.

Zbliżała się pora obiadu, gruziński przyjaciel zaproponował więc przerwę w robieniu zdjęć i zaprosił nas na obiad do baru najniższej kategorii, gdzie posiłki jada się tylko na stojąco, a potrawy nie są wyszukane, przychodzą tu bowiem ludzie

najbiedniejsi. „Mamy przed sobą siedem dni, więc każdego dnia poznacie inną restaurację” – oświadczył.

Gruzini przywiązują bardzo dużą wagę do jedzenia. Biesiady trwają u nas długo, każdej prowadzi „tabada”, mistrz ceremonii, on wznosi toasty i udziela głosu biesiadnikom.

Toasty gruzińskie są minipoematami, w zależności od sytuacji dowcipnymi, wywołującymi śmiech, romantycznymi, wzbudzającymi wyższe uczucia, są też ludowymi i ludzkimi przypowieściami kończącymi się morałami. Każdy Gruzin jest w jakimś sensie poetą, a już na pewno każdy potrafi wznieść toast. A wszyscy uwielbiają wino i zabawę.

Rano reżyser powitał nas słowami: „Wczoraj poznaliście bar, w którym jadają najbiedniejsi Gruzini, ludzie, którzy są fundamentem naszej ojczyzny, dziś, jeśli zaakceptujecie moją propozycję, pojedziemy do źródeł, do pierwszej stolicy naszego państwa, Mcchety”.

Początki miasta sięgają III wieku p.n.e. Oddalona od współczesnej stolicy o dziesięć kilometrów, leży u ujścia Aragwi do Mtkwali (Kury) przy Wojennej Gruzkańskiej Drodze, łączącej miasta znad Morza Czarnego z miastami położonymi nad Morzem Kaspijskim. Mccheta to miasto-muzeum, pełne zabytków zniszczonych nie tylko przez czas. Nasz przewodnik pokazywał te zniszczenia i sprawców, Rosjan.

W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się w zajeździe, swoim stylem przypominającym podobne lokale w Prowansji, z okien zajazdu widzieliśmy wzgórze z klasztorem Dźwari z VI wieku. Jeszcze nie zdążyliśmy złożyć zamówienia, a już kelnerka postawiła na stole dzbanek z winem i trzy kieliszki. Gdy gospodarz je napełnił, Janusz Kreczmański głosem stanowczym, niedopuszczającym sprzeciwu, oświadczył, że ma zamiar jeszcze filmować i nie wypije nawet kropelki.

„Gruzja – zaczął nasz przyjaciel – uchodzi za ojczyznę wina, uczeni odkryli tu najstarsze urządzenia do tłoczenia tego napoju, który od niepamiętnych czasów wprawia ludzi w dobry

nastrój, łagodzi smutek i cierpienie, pobudza wyobraźnię i rozwesela serce”.

„Wypijmy za to, abyście z Gruzji wywieźli nie tylko smak tego trunku, ale uczucia, jakimi was darzymy” – powiedział reżyser.

Janusz nie mógł nie spełnić toastu...

Ledwo opróżniliśmy kieliszki, gospodarz napełnił je ponownie. Tym razem Janusz niemal przysiągł, że ani kropli więcej... Pogoda była wspaniała, świeciło słońce, na wysokim wzgórzu w błękit bezchmurnego nieba wpisywała się sylwetka klasztoru Dźwari. Widok urzekał swoim pięknem i majestatem trwania. W pewnej chwili Janusz powiedział: „Spójrzcie tylko na tę budowlę, podziwiam architekta i jego poczucie piękna!”

Chyba na tę chwilę czekał gospodarz. Podniósł kieliszek i rzekł: „Podzielam twój podziw, przyjacielu. Ten budowniczy miał takie wyczucie piękna, bo był Gruzinem, kochał Matkę Gruzję i ta miłość dodała mu siłę i odwagi. Minęło już czternaście wieków od wzniesienia klasztoru, przez nasze ziemie przechodziły hordy różnych najeźdźców, a klasztor stoi na chwałę Matki Gruzji. Wypijmy za synów Polski i Gruzji, którzy kochają swoje ojczyzny”. I Janusz wypił.

O tej porze dnia lokal był jeszcze pusty, barman czyścił kieliszki, trzy kelnerki prowadziły ściszonymi głosami rozmowę, a zdun za pomocą jakiegoś metalowego narzędzia nadawał ostateczny kształt ozdobom pieca.

Reżyser przez chwilę przyglądał się w zamyśleniu zdunowi, a potem zwracając się do Janusza powiedział: „Popatrz na tego człowieka, nie jest on takim wielkim artystą jak budowniczy Dźwari, ale wygładza te płaskorzeźby przy piecu z gorliwością i skrupulatnością, bo pragnie, by ludziom zatrzymującym się tu w chłodne i słotne dni było nie tylko ciepło, ale i przyjemnie. Gdyby nie było zdunów, czyż mogliby istnieć wielcy artyści? Wypijmy za zdrowie gruzińskiego zduna!”

Toast po toaście, kieliszek po kieliszku i ani się spostrzegliśmy jak przy stole pojawiła się kelnerka z nowym dzbankiem wina. W tym momencie reżyser zapytał o imiona naszych matek. I dodał, że może w tej chwili myślą one o nas właśnie. Wzniósł toast za ich zdrowie. Czas płynął coraz wolniej, zjedliśmy obiad, wypiliśmy jeszcze kilka kieliszków, a kiedy słońce skryło się za wysoką górę wyruszyliśmy do Tbilisi. Janusz Kreczmański nie zrobił już ani jednego ujęcia, ale wrócił szczęśliwy.

Od Ikony Gubernatorskiej Janusz zaczął zdjęcia w muzeum w Tbilisi. Nazwa wzięła się stąd, że ikona wisiała w pałacu carskiego gubernatora, a ten, gdy się upił, odrywał po małym kawałku złotej koszulki i rozdawał (taki szczodry) swoim gościom. Kiedy czasy gubernatorów odeszły w niepamięć, Gruzini przenieśli ikonę do muzeum i stała się ona dowodem tego, jak carscy urzędnicy niszczyli gruzińską kulturę. Przysłuchiwałem się przewodniczącej szkolną wycieczkę, która otwartym tekstem opowiadała o niszczonej przez Rosjan gruzińskiej kulturze. Zapytałem reżysera czy taka otwarta krytyka Rosji jest u nich dozwolona?

„Pamiętasz pobyt w Mcchecie? Przez cały czas pokazywałem wam spustoszenia poczynione przez Rosjan w naszych zabytkach. Miałem na myśli czasy caratu, to oczywiste. U was Rosji carskiej krytykować nie wolno?”

Wizyta w pracowni Oczauriego – zasłużonego artysty ZSRR, który miał licencję na portrety Lenina, nie każdy artysta mógł tworzyć wedle własnego uznania podobizny wodza rewolucji – przerodziła się w wieczór przyjaźni, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Oczauri, artysta – czekańszczyk, rzeźbił nie dłutem a młotkiem w blasze ze specjalnego stopu. Czekańka cieszy się w Gruzji wielkim uznaniem, jest niezmiernie popularna we wszystkich warstwach społecznych. Gdy Janusz zakończył zdjęcia, zaczęło się przyjęcie, ze sławnymi toastami i pieśniami gruzińskimi. Nie wiadomo kiedy pracownia wypełniła się przyjacielami. Po latach z mojej pamięci uleciały toasty.

Jeden wszakże w zakamarkach pozostał: przez wiele dni osioł pokonywał dzielnie szlak pustyni. Ale i on się zmęczył, na szczęście dotarł do oazy, gdzie stały dwie konwie wypełnione płynem, w pierwszej była woda, w drugiej wino. Spragniony osioł zaczął chcieć pić. Jak sądzicie, z którego naczynia? Wypełnionego wodą, oczywiście!

Nie naśladujmy osłów, napijmy się wina

Świtało, gdy opuszczaliśmy dom artysty, był to nasz ostatni dzień w Tbilisi. Wieczór spędziliśmy w najlepszej restauracji miasta. Do dwudziestej drugiej kolacja miała charakter oficjalny, po zamknięciu lokalu zaczęło się spotkanie przyjaciół. Na stole pojawiły się butelki wina bez etykiet, bo nie ważne, jaka jest butelka, ważne, z jakiej pochodzi winnicy, a najważniejsze, z kim się wino pije.

Do dziś słyszę melodie gruzińskich pieśni śpiewanych na pożegnalnym wieczorze. Nie obeszło się bez „Suliko”. W końcu nadszedł najtrudniejszy moment. Poproszono nas o zaśpiewanie polskiej piosenki. Naradzaliśmy się z Januszem przez dłuższą chwilę, jaką piosenkę zaśpiewać. Kłopot polegał na tym, że natura nie obdarzyła żadnego z nas dobrym słuchem. W końcu zaśpiewaliśmy „Legiony to żołnierska nuta”. Po wykonaniu dwóch zwrotek zakończyliśmy występ. Nie usłyszeliśmy żadnych gratulacji, ani grzecznościowych oklasków. Mieliśmy wszyscy mocno w czubie, więc zapytałem: nie podobało się?

„Prosiliśmy o polską piosenkę, a wy zaśpiewaliście rosyjską” – padła odpowiedź... Po Powrocie do Warszawy, Marta Broczkowska oświeciła nas, że melodia jest zapożyczona od Rosjan.

Następnego dnia, żegnani przez gruzińskich przyjaciół, odlecieliśmy do Moskwy. Po kilkunastu minutach lotu, kapitan samolotu poinformował pasażerów, że opuszczamy granice Gruzjińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej.

W Moskwie, Alosza zostawił nas w hotelu „Ukraina”, zapewniając, że za kilka minut otrzymamy pokój. Po godzinie oczekiwania, Janusz, zapytał recepcjonistkę, czy pokój już gotowy? Po upływie pół godziny ponowił pytanie. I znowu: „Nie bescpakojtie, padażditie”.

W końcu wyciągnął legitymację dziennikarską, pokazał w recepcji, pytając: czy wolą „Prawdę” czy „Izwestię”, bo jemu wszystko jedno gdzie zadzwonić. Pokój znalazł się natychmiast. Pomogli nam nawet wnieść bagaże.

Nie wspominam o pobycie w Aszchabadzie, gdzie również parę dni spędziliśmy. We wszystkich wytwórniach oglądaliśmy republikańskie kroniki filmowe, które bardzo nam się podobały. Gdy zostałem redaktorem naczelnym PKF usiłowałem zorganizować wymianę z wytwórniami w Taszkencie, Ałma-Acie i Tbilisi, jeśli już nie całych kronik, to przynajmniej tematów. Moskwa się jednak nie zgodziła.

Autorstwo: Mirosław Chrzanowski

Źródło: Trybuna.info